

**SZKOŁA
NA WZGÓRZU**

SZKOŁA NA WZGÓRZU

SEBASTIAN IMIELSKI

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Izabela Piwońska - Kościuczyk, Robert Wieczorek

Skład i łamanie tekstu: Mariusz Jurgiel

Projekt i opracowanie graficzne okładki: motywprowadni.pl

Copyright © Sebastian Imielski, 2015

Copyright © Chemia Mózgu, 2026

2026 Wydanie I

ISBN 978-83-980402-1-1

Wersja elektroniczna PDF

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za pisemną zgodą autora.



Wydawnictwo Chemia Mózgu

CZĘŚĆ PIERWSZA

KOCIOŁ

1

Szkoła. Cholera. Trwa na Kominowym Wzgórzu niczym zamek upadłego księcia. I obserwuje. Skanuje poddanych rozrzuconych po Sławinie i okolicach. Pilnuje, by nie wyjawili jej tajemnic.

Przeszłość. Tutaj to słowo klucz. Wytrych do rozwikłania najmroczniejszych sekretów. Przez lata nikt nie chciał go dotykać. Ze strachu? Zapewne. Szkoła uczy i karze niepokornych.

Trafiłem w jej łapy w połowie sierpnia. Naiwniak z niewielkim stażem liczył na nowy początek. Idylliczny małomiasteczkowy klimat uleczy wszelkie rany – tak sobie to tłumaczyłem. Mama nie ma racji, siostra też. Wcale się nie cofam. To po prostu przerwa. Chwila oddechu w szaleńczym rytmie kariery. Na Kaszubach odpocznę, nabiorę nowych sił. Boże, ależ byłem naiwny.

Kiedy zacząłem żałować podjętej decyzji? Chyba już w momencie, gdy ujrzałem schody. Stanowiły one kwintesencję

wszelkich logik zawartych w tym budynku. Konieczność codziennego wdrapywania się po serpentynie nierównych stopni to pierwszy z demotyatorów, na jaki natrafiali uczniowie. Sam po wejściu na szczyt ściekałem potem. Nie mogłem sobie wyobrazić, jakim trzeba być idiotą, by wybudować szkołę na wzgórzu. Nawet jeśli powstała w szczytowym okresie peerelowskich absurdów, to brak jakiegokolwiek myśli w tym koncepcie był zadziwiający.

Dziś widzę, ile znaków opatrnościowych przestrzegało mnie przed przybyciem do Sławina. Zawał mamy, zepsuty autobus PKS i powódź. Tak, powódź, od niej właściwie wszystko się zaczęło. Oberwanie chmury przeszło nad tą częścią Kaszub w dniu mojej przeprowadzki. Sam moment wylewu Gotwałki mnie ominął, jednak gdy autobus z wielkim trudem zajechał na przystanek przy kościele, główną drogą płynęła już sporych rozmiarów rzeczka. Przeprowadzenie się na drugą stronę kosztowało mnie przemoczone buty i spodnie. Na szczęście dom Zofii Sawickiej stał niedaleko. Trzy tygodnie wcześniej wynająłem tam pokój na piętrze. Zofia była szkolną bibliotekarką w wieku przedemerytalnym, mieszkała sama i towarzystwo młodego nauczyciela bardzo jej odpowiadało. W sekretariacie stwierdzili, że lepszego lokum nie znajdę. Skorzystałem z okazji. Chyba przypadliśmy sobie do gustu. Z mojego punktu widzenia nieograniczony dostęp do szkolnych plotek i opowieści mógł okazać się cenny.

– Proszę, proszę, toż to nasz nowy belfer – rzekła, gdy zobaczyła mnie broczącego po kostki w błocie, z dużą torbą na ramieniu. Sama próbowała ogarnąć chaos w ogrodzie.

Woda dokonała w nim sporych zniszczeń. Płot od strony ulicy leżał zwalony i przygnieciony grubą warstwą szlamu.

– Teraz to nic. Zobaczyłbyś, co tu się działo rano.

Powódź nie ocaliła też niewielkiej kapliczki. Figurka Matki Boskiej leżała na wpeł zakryta jakimś zielskiem. Wrzuciłem torbę na piętro, zakasałem rękawy i ruszyłem na pomoc swojej gospodyni. Deszcz już nie padał. Słońce wychyliło się zza chmur. Wtedy jeszcze myślałem, że wszystko się jakoś ułoży.

2

Dyrektor Mech wielką posturą przypominał zapaśnika i nie mam tu na myśli klasycznej odmiany tego szlachetnego sportu, a raczej amerykański wrestling. Mierzył z pewnością blisko dwóch metrów, a zasięg jego ramion musiał być porównywalny z parametrami gwiazd koszykówki. Oceniając go po wyglądzie, stanowił absolutne przeciwieństwo znanych mi dotąd dyrektorów placówek oświatowych. Jako nauczyciel z ośmioletnim stażem przeżyłem w sumie trzech dyrektorów. Dwójka z nich pochodziła z gimnazjum numer pięćdziesiąt pięć w Gdańsku, gdzie zaczynałem pracę po studiach i kontynuowałem ją do czerwca tego roku. Jeden natomiast, a właściwie jedna kierowała prywatnym gimnazjum w Gdyni, w którym zahaczyłem się na dodatkowym

etacie w zeszłym roku. Żadna z tych osób nie wywarła na mnie przy pierwszym spotkaniu takiego wrażenia jak Stanisław Mech.

Jakby tego było mało, wystrój jego gabinetu przypominał bardziej miejsce urzędowania rektora wyższej uczelni niż pokój dyrektora prowincjonalnego zespołu szkół. Już sama przestrzeń była imponująca. Gabinet miał ze czterdzieści metrów kwadratowych. Okazała rzeźbiona biblioteka zajmowała wschodnią ścianę pomieszczenia, obok niej wisiało lustro w zdobionej drewnianej oprawie. Sam Mech zasiadał pod oknem za idealnie dopasowanym do wystroju wnętrza biurkiem w odcieniu orzecha. Wszystko to, w połączeniu z pasującym do kompletu krzesłem i stojącym za jego plecami zegarem, stanowiło zestaw mebli gdańskich. Moja babcia miała przed laty podobną bibliotekę, autentyczny antyk z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Podejrzywałem, że meble Mecha to współczesne imitacje. Gdyby były prawdziwe, to w tak dobrym stanie musiałyby być warte majątek.

– Jak pan widzi, aura nie rozpieszczała nas w tym roku – powiedział, pochylając się nad parującym kubkiem kawy. Przede mną stała herbata. Siedziałem na krześle po drugiej stronie biurka, które ze względu na rozmiary spokojnie mogło spełniać rolę stołu konferencyjnego. Ciekawiło mnie, czy podobne pogawędki z nowymi pracownikami były w tej szkole normą? Rozmawialiśmy od kwadransa. Mech opowiadał głównie o planach związanych z rozpoczynającym się rokiem szkolnym i o gronie nauczycielskim. Roztaczał wizję wyremontowanej za unijne fundusze sali gimnastycznej,

pochwalił się również nowymi szatniami oraz otwartą w zeszłym roku pracownią komputerową, która z powodu nieszczęsnego dachu ucierpiała nieco podczas ulewy.

– Co prawda trąba powietrzna ominęła Sławino, ale obierwanie chmury trochę nas podtopiło – kontynuował, a ja próbowałem przybrać minę zafascynowanego słuchacza. – Nic wielkiego w porównaniu z powodziami na południu kraju, ale nawet do tego tutejsi mieszkańcy nie są przyzwyczajeni. Susze, owszem, dawały się nam we znaki, takiego potopu jednak dawno tu nie widziano. Ja przynajmniej sobie nie przypominam.

Początkowe minuty rozmowy wiele mi o nim powiedziały. Mech był gawędziarzem. Typem człowieka, który poszukuje osób lubiących słuchać rozbudowanych historii. To pierwsza z cech, która nie pasowała do niedźwiedziowatego wyglądu. Zastanawiałem się, jak mogła wyglądać jego droga na to stanowisko. Informacje zawarte na szkolnej stronie internetowej były bardzo skąpe. Dowiedziałem się z nich właściwie tylko tyle, że ma pięćdziesiąt siedem lat i od czternastu rządzi tutejszą szkołą.

Kiedy skończył rozprawiać o zaletach prowadzonej przez siebie placówki, rozmowa zeszała na temat mojego zakwaterowania.

– Będzie się panu u Zosi dobrze mieszkąło – zawyrokował. – To legenda naszej szkoły. Złoty człowiek. Zdomowił się już pan?

– Tak – odparłem. – Pokój jest bardzo przytulny. Piękna okolica, no i będę miał blisko do pracy.

Nagle w gabinecie zawibrował ciepły głos:

– Dyrektorze, przyszła pani Juraszek. – Niespodziewanie sekretarka uchyliła drzwi, wciskając do gabinetu głowę, zupełnie jakby jakaś magiczna moc uniemożliwiła jej pokazanie całej sylwetki.

Twarz Mecha rozpromieniła się.

– Świetnie, proszę, niech wejdzie.

Kiedy próg pomieszczenia przekroczyła odziana w obcisłe dżinsy prześliczna blondynka, zrozumiałem, skąd nagłe ogniki podniecenia w oczach statecznego wydawałoby się Mecha. Dziewczyna podeszła i z uśmiechem podała mężczyźnie rękę.

– Dzień dobry – przywitała się.

Mech wstał, co uwidoczniło komiczną dysproporcję pomiędzy nimi. Dziewczyna sięgała mu do ramienia. Nie zważając na to, dyrektor szarmancko musnął ustami wyciągniętą ku sobie dłoń, i zwrócił się w moją stronę.

– Pani Andżelika będzie uczyć w naszej szkole języka angielskiego – rzekł z dumą.

Teraz ja stałem się beneficjentem słodkiego uśmiechu. Młoda anglistka odgarnęła zalotnie opadającą na oczy grzywkę, po czym wyciągnęła rękę na powitanie.

– Andżelika Juraszek – powiedziała cienkim, nieco piskliwym głosem.

– Sylwester Cichy – przedstawiłem się, ściskając jej dłoń.

Była odważna, tak się ubierając. Dżinsy i bluzka z dekoltem to raczej swobodny strój jak na wizytę u przyszłego pracodawcy. Sam wbiłem się w swój najlepszy garnitur. Osoba

przyglądająca się całej sytuacji z zewnątrz, zapewne wzięłaby nas za istoty z totalnie różnych planet.

– Trochę mnie pan dyrektor uspokoił – rozpoczęła, bez wahania zajmując miejsce obok mnie. – Już myślałam, że będę tu jedynym nowym nauczycielem.

– To wyjątkowy rok. – Mech powoli wypowiadał słowa, jakby każde niosło wiekopomną prawdę. – Zwykle stanowimy zwarty i zgrany zespół pedagogiczny, ale ostatnio trapią szkołę pewne kłopoty. Dwoje nauczycieli ze względów zdrowotnych nie mogło kontynuować pracy, stąd bardzo szybka decyzja o zatrudnieniu państwa. Pan Sylwester obejmie klasy naszej polonistki Wiolety Warمیńskiej, która przeszła na wcześniejszą emeryturę. Pani natomiast zajmie miejsce Mariana Zacharskiego, którego po wypadku samochodowym czeka długa rekonwalescencja.

Andżelika syknęła i pokiwała z zatroskaniem głową, co natychmiast podchwycił Mech.

– To na szczęście tylko noga – tłumaczył. – Wypadek wyglądał naprawdę groźnie. Gdyby nie refleks Mariana, mogłoby dojść do prawdziwej tragedii. Dacie wiarę? Pijany traktorzysta, który zajechał mu drogę, nawet się nie zatrzymał, a musiał widzieć staczające się ze zbocza auto. Dopiero kilka godzin później dopadła go policja. Co się na tych drogach dzieje, to doprawdy trudno pojąć. Człowiek przeszedł dwie operacje, a i tak może zostać inwalidą.

– Tak jest wszędzie, panie dyrektorze – skomentowała dziewczyna. – To nie narkotyki czy papierosy, lecz alkohol jest w naszym społeczeństwie największym złem. Jeśli nie wbijemy

tego młodym do głów, to za parę lat staniemy się otumanionym, niezdolnym do własnego zdania, odtwórczym narodem.

Mech wydawał się zaskoczony, ale i niezwykle usatysfakcjonowany tą konkluzją. Rozparł się w swym fotelu, jakby musiał dogłębniej przeanalizować usłyszane słowa.

– Bardzo się cieszę, słysząc to z ust tak młodej osoby – powiedział w końcu, nie spuszczać z dziewczyny wzroku. – To daje pewną nadzieję. Taki powiew świeżości wszystkim nam dobrze zrobi.

To było genialne. Andżelika natychmiast skupiła na sobie pełnię jego uwagi. Nie zdziwiłbym się, gdyby dyrektor zupełnie zapomniał o mojej osobie. Agencje PR-owe powinny się o nią zabijać. Po jaką cholere pchała się na etat w małomiasteczkowej szkole?

Wymiana zdań trwała jeszcze przez kilka minut. W tym czasie Mech rozprawił o zaletach sławińskiego krajobrazu. Andżelika natychmiast poprosiła o polecenie jej kilku miejsc, bo jak stwierdziła, jest zapalonym fotografem i wielką miłośniczką przyrody. Po stworzeniu naprędce listy botaniczno-zoologicznych hitów dyrektor pożegnał nas, przypominając o czwartkowej radzie pedagogicznej.

– Poznacie wszystkich i ustalimy szczegóły planu zajęć. Bez obaw, poczujecie się jak w domu. Tu panuje zupełnie inna atmosfera niż w dużych miastach.

Gdy wyszliśmy z gabinetu, zaatakowała nas głucha cisza pustego holu. Za kilka dni miał się zapełnić tabunami pełnej wakacyjnych wrażeń młodzieży. Rozpocznie się kocioł, pomyślałem. Tak nazywałem każdy początek roku szkolnego.

– Jeeezu, co za dziura – rzuciła „słodka” Andżelika, po czym bez wahania włożyła papierosa do ust. – Nie mam pojęcia, jak wytrzymam na tym zadupiu. Ledwie usiedziałam parę minut z tym nudziarzem i mam dość. Palisz?

– Nie – odparłem zaskoczony. Grzebała nerwowo w przewieszanej przez ramię torebce, aż w końcu wyciągnęła zapalniczkę i jednym pstryknięciem wznieciła płomień, którym natychmiast zajęła się końcówka papierosa.

– Skąd jesteś? – zapytała, gdy zmierzaliśmy w kierunku wyjścia ze szkoły. Unoszące się pod sufitem kłęby papierosowego dymu znaczyły przebytą korytarzem drogę.

– Z Gdańska.

– I sprowadziłeś się tutaj? Na głowę upadłeś? Nie mogłeś zahaczyć się w Trójmieście?

– Tak się złożyło, że właśnie tego chciałem uniknąć. A ty?

– Słupsk – odpowiedziała. – Wspaniałe miasto rosnącej beznadziei.

Gdy opuściliśmy szkołę, mruknęła coś na pożegnanie i ruszyła w kierunku schodów wiodących ku centralnej części miejscowości. Bezwiednie odprowadziłem ją wzrokiem. Jedno było pewne: atrakcyjna nauczycielka wśród nabuzowanej hormonami młodzieży zwiastowała kłopoty. Obserwując trzpiotkę w dyrektorskim gabinecie, nie dawałem jej szans na dotrwanie do końca roku szkolnego. Zaciągająca się grubym marlboro kobieta wyrzuciła moje wyobrażenie do góry nogami. Niezła aktorka.

Skierowałem się ku przeciwnemu zejściu. Do rozpoczęcia roku szkolnego pozostały trzy dni.

3

Po spotkaniu z Mechem naiwnie przyjąłem, iż jest on niepodzielnym władcą Zespołu Szkół w Sławinie. Błąd nowicjusza. Życie szybko nakierowało mnie na właściwy tor.

Podczas gdy dyrektor przekładał kartki na swym wypolerowanym orzechowym biurku, pionki na edukacyjnej szachownicy rozstawiała jego żona Laura. Wicedyrektor.

Jędrza, Cholera, Gestapówa – to zasób określeń usłyszących po zaledwie jednym dniu pracy. Wszystkie pochodziły z okolic pokoju nauczycielskiego.

– Nie warto podskakiwać, bo cię zniszczy – tłumaczył mi Andrzej Dettlaff, historyk, z którym już po pierwszym spotkaniu na radzie pedagogicznej nawiązałem najlepszy kontakt. – Z drugiej strony nie możesz być zbyt miękkki. Zdominuje cię i zgnoi. Trzeba wypracować złoty środek.

– A jak ty sobie radzisz? – spytałem.

– Nie wychyłam się, jeśli idzie o sprawy organizacyjne, jednak merytorycznie obstaję twardo przy swoim zdaniu – odparł, popijając kawę. Byliśmy w pokoju nauczycielskim. Trwały ostatnie przygotowania do rozpoczęcia roku szkolnego. – Kiedyś chciała mi narzucić podręcznik. W porządku. Przesiedziałem nad nim całą noc, wypunktowałem słabe strony i przedstawiłem Laurodontowi elaborat, z którego pewnie połowy nie zrozumiała. W sumie to dyletantka, uczyła kiedyś techniki, od lat jednak siedzi w papierach. Jak ją zagniesz, to

odpuszcza. Wtedy masz spokój. Dziewczyny się za bardzo przejmują i ona to wykorzystuje.

– Mech się nie wcina?

– Nie wyściubia nosa z tej swojej twierdzy. – Andrzej aż się zachnął. – Wszystko załatwia Laura. Czasem mam wrażenie, że ma do niego pilota i używa, gdy jej się podoba.

Dyrektorka despotka nie mieściła się w moich planach. Niemniej pozostali nauczyciele sprawiali wrażenie zgranego, przyjaznego grona. Gdy pojawiłem się na radzie pedagogicznej, Andrzej od razu wziął na siebie rolę kompana przewodnika i przedstawił mnie pozostałym. Chemiczka Basia Karpińska była przysadzistą, wesołą kobietą po pięćdziesiątce. Tego dnia prowadziła ognistą dyskusję z fizykiem Pawłem Kalickim na temat dostosowania ich planów lekcyjnych do wymogów podstawy programowej.

– I tak godzinami – skomentował Andrzej. – Jakby nie było ciekawszych tematów. À propos. Jak tam puchary? Oglądałeś wczoraj Legię?

Nie oglądałem, nie miałem telewizora. Chwilę później w pokoju nauczycielskim pojawił się Robert Zych. Uczył WOS-u i zajęć technicznych. Podszedł do nas. Natychmiast rozpoczęły się żale nad miernotą krajowego futbolu. Obaj panowie wyraźnie się kolegowali. Z wyglądu stanowili swoje przeciwieństwa. Andrzej, z postępującą łysiną, niewielkim brzuszkiem i w szarym sweterku, sprawiał wrażenie kawalera po czterdziestce, z dawno utraconą nadzieją na ożenek. Robert był szczupły i wysoki, a średni wiek zdradzały jedynie mocno posiwiałe włosy.

– Ojej, a to kto? – W jednej chwili temat szans naszych drużyn w europejskich pucharach rozplynął się niczym marmura reprezentacji o awansie do Mistrzostw Świata. Do pokoju weszła Andżelika. Ubrała się bardziej formalnie niż na wizytę w gabinecie dyrektora. Paradoksalnie podkreśliło to tylko jej atrakcyjność.

– Mój Boże, zakochałem się – wycedził Andrzej i natychmiast przyglądził odstający nad uchem kosmyk włosów. – Co za łania. Idę się przedstawić.

Robert natychmiast ruszył jego śladem. Naiwniacy, pomyślałem. Ona pożre was ze smakiem, a kości porozrzucą kojotom. Zresztą niech się sami przekonają.

Chwilę później naszym oczom ukazała się Laura Mech. Rozmowy natychmiast ucichły, wszyscy wyraźnie się jej bali. Postura dyrektorki budziła respekt. Mechowa była ogromną kobietą, wysoką i szeroką. Przypominała wkurzoną hipopotamicę. Ukryte pod rudą grzywką oczy strzelały miazdzącym spojrzeniem. Ile miała lat? Może pięćdziesiąt.

– Nie traćmy czasu – powiedziała surowo, bez słowa przywitania.

Cisza aż biła po uszach.

Rada trwała blisko pięć godzin. Większą jej część zajęło przyklepywanie rozwiązań narzuconych przez Laurę. Nieliczni zgłaszali uwagi do planu. Po zakończeniu tej smutnej pokazówki wróciłem do swojego nowego domu. Gdy rozdzwoniła się komórka, przekładałem właśnie rzeczy z torby do szafy. Spojrzałem na wyświetlacz i bezwiednie syknąłem. Szykowała się nieprzyjemna rozmowa.

– No nareszcie, miło, że w ogóle odbierasz. – Wyrzut w głosie siostry był nieodłącznym towarzyszem naszych rozmów. – Masz zamiar całkowicie się wyalienować?

Nie spełniłem obietnicy i nie zdałem raportu z mojego nowego życia. Stąd te pretensje. Mama się denerwowała, wiedziałem o tym, ale konieczność bezustannego tłumaczenia się doprowadzała mnie do obłądu. Matka zadzwoniła ze skargą do Ani. Tak to zazwyczaj działało.

– Rada przeciągnęła się do wieczora – odparłem, starając się przybrać stanowczy ton. – Zaraz do niej zadzwonię.

– Szkoda, że muszę ci o tym przypominać. Chyba przyjedziesz na weekend?

– Mam sporo roboty – skłamałem. – Muszę się przygotować do zajęć. Wpadnę w przyszłym tygodniu.

– Fantastycznie. Teraz mam na głowie dwa domy. Braciszek zwinął manatki i zwałił wszystko na mnie. Pamiętasz, że mam dzieci i pracę?

– Nie przesadzaj. Traktujesz matkę jak osobę niepełnosprawną. Przecież nie jest tak źle, by nie mogła o siebie zadbać.

– Wiesz co, czasem zastanawiam się, gdzie ty masz serce? Przy jej zdrowiu kosztujesz ją dodatkowo tyle nerwów. I jeszcze robisz łaskę, że zadzwonisz? Najpierw twój nieszczęsny ślub, potem wyjazd. Ona ma sześćdziesiąt osiem lat i przeszła zawał. Liczysz na szybki pogrzeb i pozbycie się problemu?

Boże, jak ona mnie wkurzała! Miałem ochotę trzasnąć telefonem i zakończyć rozmowę. Zrobiłbym to, gdyby nie świadomość, iż miała trochę racji. Uciekałem od kłopotów, pozostawiając zmartwienia innym. Odburknąłem parę

standardowych formułek i rozłączyłem się. Chwilę później zadzwoniłem do mamy. Początkowo wydawała się obrażona, co stanowiło obowiązkowy punkt rytuału, później się rozkręciła i w konsekwencji unikałem cierpkich słów. Uspokoila ją zapewne moja opowieść o sielskiej atmosferze i dokonanym wspaniałym wyborze. Obiecałem, że wkrótce ją odwiedzę. Na szczęście zasięg sieci komórkowej w domu Zofii, a jak się później okazało w całym Sławinie, był mizerny – aby rozmawiać, musiałem stać przy oknie – miałem więc pretekst, by nie rozgadywać się zbyt wiele.

Po południu wybrałem się na zakupy. Chciałem zapełnić przypadające mi dwie półki w lodówce. Jeden z nabytych w małym sklepiku słoików z gołąbkami miał stanowić mój obiad.

– Mogę to nazwać na sto różnych sposobów, ale na pewno nie są to gołąbki – skomentowała Zofia, widząc, jak łyżką wypycham zawartość słoika do niewielkiego garnka. – Tak zawsze wyglądają twoje obiady?

– Przeważnie – odpowiedziałem, mieszając zawartość, by się nie przypaliła. – Uroki kawalerskiego życia.

Gospodyni wzruszyła tylko ramionami. Nagle poczułem, jak coś włochatego ociera się o moją nogę.

– Jezu! – Odskokczyłem przestraszony. – Co to?

Zofia wzięła na ręce duże rude kocisko.

– Poznaj Leopolda – powiedziała, tuląc się do zwierzaka. – Mojego najlepszego przyjaciela.

– Cześć, Leo – rzekłem. – O mało co nie dostałem przez ciebie zawału.

Kot szybko znudził się czułościami. Skoczył na taboret, z niego na podłogę, a następnie prysnął przez uchylone drzwi na dwór. Przerzuciłem bulgoczące gołąbki z rondelka na talerz. Zofia przyglądała się temu zniesmaczona.

– Jak ogród? Dochodzi do siebie? – spytałem z nadzieją odwrócenia uwagi od mojego obiadu. Gospodyni westchnęła z rezygnacją.

– Przedwczoraj znajomy przywiózł sporo ziemi. Dziś będzie stawiał płot, a ja zabiorę się za wyrównywanie terenu.

– Sama? – zdziwiłem się. – Nie mają jakiejś maszyny? Pomogę ci.

– Nie trzeba – odparła. – Trochę ruchu dobrze mi zrobi.

Trochę to mało powiedziane, pomyślałem. Woda wymyła znaczną część działki i ubytków było sporo. No ale skoro nie chciała pomocy, nie zamierzałem się narzucać.

– A kapliczka? – zapytałem.

– Niestety nie da się jej uratować. Postument skruszał i połamiał się na dobre. Na wiosnę zamówię nowy, ale starego będzie mi żal. Po wojnie kapliczkę ustawił przy domu mój teść. Taka podzięką za uratowanie życia z hitlerowskiej nawały. Przetrwała tyle lat...

Zofia błędziła w rodzinnych wspomnieniach, by za chwilę powrócić na ziemię.

– Co do kwiatów, większość się z tego nie podniesie. Wszystkie róże szlag trafił. Mam nadzieję, że przetrwają drzewka owocowe i tuje.

Przez pół godziny słuchałem opowieści o trudach ogrodnictwa. Jasne było, że to jej hobby i pasja. Zastanawiałem się,

dlaczego mieszka sama. Nie ma rodziny? Byłem bliski zadania tego pytania, ale w końcu się powstrzymałem. Może kryła się za tym jakaś przykra historia. Nie znaliśmy się jeszcze na tyle dobrze, by poruszać niewygodne tematy. Ona również nie wypytywała o osobiste sprawy. Taki cichy kompromis mi odpowiadał.

4

O ósmej Kocioł buchał pełną mocą. Mój debiut w Gimnazjum Zespołu Szkół w Sławinie przypadł na klasę pierwszą A. Trema na twarzach uczniów była zauważalna. Znam nauczycieli, którzy w takich sytuacjach lubują się w epatowaniu atmosferą szkolnej grozy. Uważają, że jeśli zrobią na pierwszorocznikach wrażenie surowych i bezkompromisowych, to później w zastraszonych dzieciakach będą mieli uległą publikę. Ja działałem inaczej. Chciałem rozluźnić atmosferę, czegoś się o nich dowiedzieć. Przedstawiłem się i poprosiłem o to samo. Po kolei wypowiadali swoje imiona i nazwiska, podawali nazwy miejscowości, z których pochodzą. Porozmawialiśmy trochę o podstawówce, chciałem wysondować, jaki materiał przerobili i generalnie jak są przygotowani. Uczniowie głównie dojeżdżali z kilku wiosek wokół Sławina. W związku z tym obawiałem się zróżnicowanego poziomu. Potwierdziły to pierwsze wypowiedzi. Namierzyłem

co najmniej dziesięciu delikwentów, którym skonstruowanie paralogicznie brzmiących zdań sprawiało widoczne problemy. Zwiastowało to spore kłopoty. Zapowiedziałem przeprowadzenie testu wstępnego w połowie września i w tym momencie rozległ się dzwonek. Kolejne godziny minęły według tego samego szablonu. Druga z pierwszych klas potwierdziła moje obawy. Zatrudniając się w Sławinie, nie wziąłem pod uwagę problemów wynikających z naleciałości językowych. Brały się one z totalnego pomieszania w języku, jakim operowali niektórzy uczniowie, słów polskich i kaszubskich. Czekало mnie spore wyzwanie.

Ostatnią poniedziałkową lekcją były zajęcia z trzecią B. Fakt, iż pozostałe godziny minęły spokojnie i bez zakłóceń, uspił nieco moją czujność. Gdy weszliśmy do klasy, na tablicy widniała już namalowana kredą szubienica.

Zignorowałem rysunek.

– Dzień dobry – przywitałem się.

W odpowiedzi usłyszałem niemrawe:

– Dzień-do-bry.

– Nazywam się Sylwester Cichy i jak zapewne wiecie, będę prowadził z wami lekcje języka polskiego.

Z ostatniej ławki dobiegł przeciągły rechot.

– Łał, to co dzień będzie balanga, a myślałem, że sylwestra mamy tylko raz w roku. – Usłyszałem.

Dwóch długowłosych chłopaków bez żadnego skrępowania zanosilo się śmiechem. Część z pozostałych uczniów przyłączyła się do nich.

– Następnym razem przyniosę petardy – dodał ten siedzący bliżej ściany, rozpierając się w ławce. Tym razem cała klasa wybuchnęła śmiechem.

Brak reakcji byłby zabójczy. Miałem mało czasu, by opracować dobrą strategię. W karierze zdarzali mi się trudni uczniowie. Z niektórymi spięcia były naprawdę ostre. Nigdy jednak nie przydarzyło mi się to na pierwszej lekcji. Co do jednego nie miałem wątpliwości: jeśli odpuszczę, zobaczą we mnie jelenia. Wtedy będę skończony.

– Widzę, że atmosfera w waszej klasie jest dość swobodna – rzekłem, siłąc się na luz. – To dobrze, stres nie wpływa pozytywnie na przyswajanie wiedzy. Nie pozwolę jednak na przesadę. – Zmieniłem intonację głosu na ostrzejszą. Zesłoroczny kurs nie poszedł na marne. – Panowie z tyłu są jej bliscy, a to w moich klasach zawsze się źle kończy – kontynuowałem. – Wobec nikogo nie stosuję taryfy ulgowej, zapewniam was. Dla mnie najważniejsze jest przygotowanie do egzaminu. Jeśli uznam, że ktoś sobie nie radzi, nie otrzyma na koniec pozytywnej oceny. Odnosi się to również do zachowania i bezczelnych odzywek.

Cisza, jaka w tym momencie zapadła, dobrze zwiastowała. Zaskoczyłem ich. Najwidoczniej spodziewali się dobrej zabawy. Nowy, młody nauczyciel bywa łatwym celem. Podeszedłem do ostatniego rzędu.

– Czy to jasne? – Stałem nad nieostrzyżonymi komediantami. – Bo jeśli nie, to panowie klauni mają szansę błaznować w tej klasie jeszcze wiele lat. Może opublikujecie swój program? Z takimi fryzurami zrobicie furorę.

To wywołało śmiech klasy. Brunet siedzący bliżej ściany poczerwieniał, z trudem powstrzymywał wściekłość.

– Przepraszamy – powiedział jego kompan, spuszcżając nisko głowę. Odetchnąłem z ulgą.

– Źle zaczęliśmy – rzekłem już nieco łagodniejszym tonem. – Chcę, abyśmy się dogadali. Ponieważ to nasze pierwsze spotkanie, mam dla was propozycję. Zapomnę o ostatnich minutach, zaczniemy od nowa. Co wy na to?

Szmer, jaki rozszedł się po sali, uznałem za aprobatę. Długowłosey pod ścianą nie odpowiedział. Wysyczał tylko coś do kolegi.

– Nazywam się Sylwester Cichy, jestem nowym nauczycielem języka polskiego. Przedstawcie się proszę po kolei.

Powtórzyliśmy rytuał z poprzednich godzin. Kolejka omięła ostatnią ławkę, której okupanci nie mieli najwyraźniej ochoty zdradzać swoich imion. Pozostawiłem to bez reakcji, jak na pierwszy dzień miałem dosyć starć.

Lekcja potoczyła się dalej. Przedstawiłem listę lektur, zapowiedziałem test sprawdzający i omówiłem swoje wymagania. Uczniowie musieli liczyć się z co najmniej dwiema pracami pisemnymi i klasowymi w semestrze. Zakładałem również dwie, trzy oceny za odpowiedź ustną w czasie lekcji i dwie oceny za zadanie domowe. To zwykle dawało klarowny obraz umiejętności. Zapowiedziałem również okresową kontrolę zeszytów, zwłaszcza zawartych w nich wypracowań. Przyznaję, mam na tym punkcie hopla. W Gdańsku dzieciaki mnie za to przeklinały do czasu, aż przekonały się, z jaką łatwością przychodzi im później splodzenie

kilkudziesięciodaniowego dziełka, za które na teście otrzymuje się najwięcej punktów. Każdy w miarę rozgarnięty piętnastolatek, kończąc gimnazjum, musi umieć sklecić poprawną językowo i logiczną w treści pracę pisemną. Tak brzmi moje motto i założenia podstawy programowej. Moje słowa nie wzbudziły zachwytu. Warmińska prawdopodobnie była wobec nich mniej wymagająca.

– Uważajcie, jest szansa na pierwszy dobry stopień – zapowiedziałem. – Opiszcie, proszę, na czwartek swoje zainteresowania i to, jak chcielibyście je wykorzystać w przyszłości. Wystarczy półtorej, dwie strony zeszytowe. W tym przypadku, na zachętę, wpiszę do dziennika tylko pozytywne oceny.

Propozycja wzbudziła westchnienia rozpacz. Po dzwonku trzecia B w mgnieniu oka opuściła klasę.

– Się kurwa doczekasz! – Doszło do mnie zza przymkniętych drzwi. Chwilę później usłyszałem stukot butów uciekającego dzieciaka. Otworzyłem dziennik. Gdy uczniowie się przedstawiali, odruchowo szukałem ich nazwisk na liście. Dwoje ominąłem.

– Adam Wilczyński i Bartłomiej Zwara – odczytałem. Nazwisko pierwszego wydało mi się znajome, nie potrafiłem jednak z niczym konkretnym go skojarzyć. Drugi był całkowicie anonimowy. Pakując tego popołudnia rzeczy do torby, zaczynałem powoli odkrywać, w co wdepnąłem, rzucając się na etat w Sławinie.

To nie była typowa biblioteka. Choć zawierała elementy klasyczne, takie jak regały z książkami oraz katalog zbiorów, reszta pomieszczenia przypominała bardziej pracownię komputerową, a właściwie kafejkę internetową. W centralnej części znajdował się szeroki stół, miał dobrych pięć metrów. Po jego obu stronach ustawiono płaskie monitory, poniżej zaś wieżyczki z komputerami. W sumie było osiem stanowisk. Przy każdym znajdował się wygodny fotel. Zofia siedziała na swoim miejscu, wpatrzona w monitor. Minęła czternasta, uczniowie poszli do domów albo mieli jeszcze lekcje. W bibliotece oprócz nas przebywały zaledwie dwie osoby.

– Witam w moim królestwie – powiedziała, gdy tylko mnie dostrzegła.

– No, no, no, aż ocieka tu nowinkami technicznymi. Nie spodziewałem się.

– Bez przesady – skomentowała. – To zaledwie kilka średniej klasy komputerów. Dyrektor dwa lata temu załatwił w gminie pieniądze, dzięki czemu mogliśmy zrobić kącik internetowy. To chyba jedyne miejsce w Sławinie, gdzie można swobodnie posurfować. Mamy łącze szerokopasmowe, śmiga jak szalone.

Rzeczywiście. Zasięg sieci komórkowej był tak słaby, że mój laptop z mobilnym internetem godzinami ładował każdą stronę. Robert i Andrzej mówili, że ostatnia firma, która oferowała łącze radiowe, zwinęła manatki rok temu. Podobno zakłócenia sygnału były zbyt duże. Sieci telefoniczne też nie zarzucały gminy ofertami. Nikt nie zdecyduje się pociągnąć setek metrów kabla dla kilku niepewnych klientów.

– Jeśli chcesz skorzystać z sieci, zapraszam na zaplecze. Mamy tam dwa komputery dla nauczycieli. W tych jest blokada niektórych treści. Ale, ale, jak tam pierwszy dzień? Dali ci w kość?

– Troszeczkę – odparłem. – Da się przeżyć. A co u ciebie? Też klikasz?

– Przerzucam katalog na dysk. – Wskazała na obudowę komputera. – Jeszcze trochę mi zostało. Jak wprowadzę wszystkie zbiory, umieścimy je z Karolem, naszym informatykiem, na serwerze, tak by każdy miał do nich dostęp przez internet. Wtedy wystarczy, że wejdiesz na stronę, i zobaczysz, czy książka, na którą polujesz, jest dostępna, czy wypożyczona, a jeśli tak, to do kiedy. Karol opracowuje system rezerwacji.

Paliała się do tego projektu, to było widać. Nie co dzień spotyka się sześćdziesięciolatkę, z którą człowiek w moim wieku swobodnie rozmawia o nowych technologiach. Przypuszczałem nawet, że w tym temacie jej wiedza znacząco przerastała moją.

– Prawdziwy z ciebie demon sieci, chapeau bas!

– Jestem zaledwie początkującym karzełkiem – sprostowała, ale komplement wyraźnie jej się spodobał. – Demon to siedzi na tamtym fotelu.

Krótko przystrzyżona dziewczyna o czarnych jak smoła włosach wbijała wzrok w ekran monitora, pozostawiając zewnętrzny świat gdzieś daleko na peryferiach percepcji. Prawą ręką sprawnymi ruchami operowała myszą. Rozpoznałem ją. Chodziła do trzeciej B.

– Ewa przygotowuje nową stronę internetową szkoły – wytłumaczyła Zofia. – Już za poprzednią otrzymaliśmy nagrodę pomorskiego kuratora. Teraz podobno mamy startować w konkursie ogólnopolskim.

Obok siedziała inna dziewczyna. Wyższa, długowłosa i zdecydowanie mniej zainteresowana komputerem. Ją też rozpoznałem, choć nazwiska nie potrafiłem sobie przypomnieć. Skrobała coś w zeszycie i wydawała się równie nieobecna jak jej koleżanka. Pomyślałem nawet, że może pisze zadaną przeze mnie pracę. Od czasu do czasu lubiłem dowartościować się myślą, iż ktoś, choćby w niewielkim stopniu, bierze sobie do serca mój trud.

– Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać. – Głos dotarł zza moich pleców. Odwróciłem się. Przedemną stał ksiądz i uśmiechał się życzliwie. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Adam – rzekł.

– Sylwester – odparłem nieco speszony. – Witam księdza.

– Adam – powtórzył. – Tyle wystarczy.

Biła od niego pogoda ducha. Miał posturę rubasznego mnicha z historii o Robin Hoodzie. Był ode mnie o głowę niższy, łysy i na oko o jakieś dziesięć lat starszy. Ciepły głos pasował do pyzatej twarzy. Zwykle czułem się nieswojo w towarzystwie osób duchownych. W jego przypadku niepewność przysła.

– Świeża krew bardzo się nam przyda – kontynuował Adam. – To fajne miejsce, szybko się zadomowisz. No i mieszkasz u Zosi, będzie ci matkować.

– Adaś, nie przesadzaj. – Zofia wyglądała na speszoną. – Tylko mi lokatora wystraszysz.

Przez długą chwilę rozmawialiśmy o błahostkach, zwykłych rzeczach. Jak to w pracy. Takiej, o której marzyłem.

5

Powoli wpasowywałem się w rytm szkoły. Emocje pierwszego tygodnia opadły. Zaczynałem to ogarniać.

W weekend, zamiast pojechać do Gdańska, umówiłem się z Andrzejem i Robertem. Piliśmy miejscowe piwo w lokalu o wdzięcznej nazwie Muchomor. Ku mojemu zdziwieniu około dziesiątej dołączył do nas Adam po cywilnemu i opróżnił dwa kufle. Dobrze mi się z nimi rozmawiało. Byli tacy swojscy, niewymagający i na luzie. Brakowało mi podobnego wieczoru. Odpuszczenie wyjazdu do mamy okazało się dobrą decyzją, nawet jeśli konsekwencją będzie kolejna bura od siostry.

Zdarzył się tylko jeden zgrzyt. Dość mocno wstawiony Andrzej oparł się na moim ramieniu i zaczął nieco niezrozumiale bełkotać:

– Sylwek, powiedz, ale tak szczerze, co do cholery sprawiło, że przeprowadziłeś się na tę wiochę? Na twoim miejscu raczej bym stąd spieprzał.

Nie odpowiedziałem. Nie miałem ochoty. Odburknąłem coś na odczepnego.

– Baba – skwitował Andrzej, po czym kiwając się, pociągnął kolejny łyk. – Znam tę minę. Tylko baba może tak

załatwić faceta. Gadasz z fachowcem, chłopcze. Dwa rozwody w ciągu piętnastu lat. Baba cię zniszczy i...

– Dość tego biadolenia – wtrącił Adam i puścił do mnie oko. – Za nasze kariery w superszkole. – Podniósł swój kufel.

– Na pohybel tej piz... – Robert urwał i zakaszłał nerwowo. – Sorry, Adaś. No to co by się nas Laurodont nie czepiał.

Za to mogliśmy wypić. Wszyscy.